

Nadzwyczajna w tym życiu była zwyczajność¹

Na cmentarzu pelplińskim przedzielone zbiorową mogiłą księży zabitych przez hitlerowców w 1939 r. znajdują się dwa prawie jednakowe groby; spoczywają w nich dwaj ludzie z przedwojennego Pelplina, mędrzec i święty. O wielkim uczonym pomorskim ks. Sawickim, pisałem kilkakrotnie, jego dzieła mówią o nim dostatecznie wiele. Po biskupie Dominiku pozostała właściwie tylko pamięć i więcej niż pamięć: na jego grobie palą się zawsze świece, leżą świeże kwiaty, a w maju biało-czerwone kokardki maturzystów. Nad grobami kolegów i przyjaciół zatrzymuję się, by za nich się pomodlić i nie zaniedbuję tego za żadną bytnością w Pelplinie. Nad grobem biskupa stoję, by wzywać wstawiennictwa, pomocy. Biskupa Dominika znam tylko z portretu, jaki wisi w Seminarium, z fotografii i z opowiadań. Byłem klerykiem, kiedy sprowadzono na ten cmentarz jego zwłoki z Gdańska, gdzie zmarł 7 marca 1942 r. Akta ukończonego w 1965 roku procesu informacyjnego w perspektywie beatyfikacji ks. biskup Kazimierz Józef Kowalski zabrał do Rzymu jadąc na kolejną sesję Vaticanum II. Na paczce widniało wypisane dużymi literami słowo Pelplin i, sądząc, że jest to przesyłka do zabrania do kraju, dołączono ją do bagaży bardzo źle widzącego biskupa, gdy wracał do Polski.

– Widać, że jest to sprawa bardzo Boża – powiedział biskup, znany neotomista i dialektyk – skoro szatan spletał takiego figla.

Niełatwo jest pisać o biskupie Dominiku, jeśli chce się uniknąć dawnej hagiograficznej sztampy. Ale nowocześnie pisać jest jeszcze trudniej: współczesny czytelnik nie lubi czytać o świętych czy o kandydatach na ołtarze, których życie nie jest rozpisane dramatycznie na cień i światło, lecz od początku pełne ładu i harmonii, a w krajobrazie duszy nie ma ani gór ani przepaści.

Jak dobrze wpisuje się osobowość biskupa Dominika w krajobraz nad Zatoką Pucką, gdzie łagodne wzgórza schodzą ku kaszubskiemu Genezaret, oprawionemu w zielono szumiące trzciny. Ks. biskup Konstantyn Dominik urodził się 7 listopada 1870 roku w Gnieźdźewie, w parafii swarzewskiej, gdzie cudowna Matka Boska panuje nad lądem i nad morzem. Przyszłym biografom warto polecić ten najbardziej chyba efektowny skrót: droga z kaszubskiej chaty obrosłej dzikim winem do biskupstwa i na ołtarze.

¹ Przedruk: Janusz St. Pasierb, *Galęzie i liście*, Poznań 1985, s. 271-279.

Do tej chaty wracał na wakacje jako uczeń pelplińskiego Collegium Marianum, a później gimnazjum w Chelmnie. Ojciec, rolnik, był soltysem. Konstantyn zdał maturę w roku 1893 i wstąpił do Seminarium Duchownego w Pelplinie. Nauka nie przychodziła mu najłatwiej, ale już wtedy z żelazną pracowitością położył podwaliny pod swoje osobiste studia z dziedziny praktycznego duszpasterstwa, co wówczas nie było rzeczą dostatecznie docenianą, ani zbyt częstą. Z czasem miał zostać znawcą teologii pastoralnej, liturgiki i ascetyki. Święcenia otrzymał 25 marca 1897 roku i skierowany został na wikariat do parafii św. Ignacego w Gdańsku-Oruni. Parafia składała się z robotników, dokerów i marynarzy. Wierni nie naprzykrzali się zbyt Panu Bogu, ale kiedy już nadeszła spowiedź wielkanocna, to trwała ona niemal 24 godziny na dobę. Ks. Dominik opowiadał często klerykom z zawstydzeniem, jak raz wskutek tego zasnął przy brewiarzu. Innym razem zdarzyło się coś gorszego: ks. wikary któregoś niedzieli wszedł na ambonę tak stremowany, że nie zdołał powiedzieć ani słowa ze starannie na piśmie przygotowanego kazania. Przeżegnał się i czerwony jak burak zszedł z ambony. Ale nikt się nie śmiał i nie miał pretensji: szorstki i złośliwy ludek portowego przedmieścia musiał czuć do swojego młodego księdza dużo sympatii.

Po dwóch latach przeniesiono go do Chelmina. Został kapelanem sióstr i szpitala oraz prefektem i ojcem duchownym konwiktu Albertinum. W kwietniu 1911 przybył do Pelplina, mianowany ojcem duchownym Seminarium Duchownego. W Pelplinie – zauważono to od razu – „odbijał się od innych księży”. Można by zrekonstruować tło tego osobliwego środowiska wiejskiej stolicy diecezji, do której należał wtedy nie tylko Toruń, ale i Gdańsk i Lębork, Bytów, Człuchów i Złotów, a na wschodzie Morąg, Ostróda i Nidzica. W kurii, a także w seminarium, byli Polacy i Niemcy. Ks. Dominik, w którego domu mówiono po kaszubsku, czuł się oczywiście Polakiem, nigdy jednak nie przejawiał w stosunku do mniejszości niemieckiej niechęci czy szowinizmu.

Od 1 października 1920, gdy regens seminarium, ks. Treder, został wydany przez władze polskie do Niemiec, ks. Dominik objął ten urząd. To był najważniejszy rozdział jego życia. W pamięci diecezji przeszedł do historii jako wychowawca kleru. Wychował całą generację, oddział na styl następnych. „Jego” klerycy stanowili trzon duchowieństwa pomorskiego we wrześniu 1939 roku, kiedy Niemcy wymordowali połowę kleru chełmińskiego. Jeden z tych, co przeżyli, gdy proponowano mu ucieczkę, odmówił:

– Co by powiedział biskup Dominik, gdybyśmy uciekli...

W stylu wychowawczym ks. Dominika nie było żadnych nadzwyczajności, metod i „podejść”. Ważne było nie to, co robił, ale kim był: wszystko właściwie sprowadzało się do promieniowania wielkiej dobroci serca.

Działał w środowisku, które pewnie z tą właśnie wartością było nieco na baki. Po pierwszej wojnie światowej pełnił funkcję rektora seminarium, w któ-

rym kształcili się przeważnie byli kombatanci. Noszono wojskowe płaszcze i buty, panował oficcerski fason, picie, palenie. Ludziom, którzy spędzili kilka lat w okopach, niełatwo było obserwować regulamin, do którego zachowania lepszym przygotowaniem jest nie armia, lecz kółko ministrantów.

Tak oto łagodny i uprzejmy ks. Dominik musiał borykać się z koszarowymi obyczajami swoich wychowanków. Powoli przestawali „stawiać się”, pić, palić i największą karą dla nich było... że „Dominiczek” martwi się różnymi ekscesami. Nie bardzo chce się wierzyć, ale rzeczywiście istniało kiedyś na świecie takie seminarium duchowne, w którym największą karą dla kłeryka było to, że rektor się zmartwi. A było to przecież środowisko szorstkie, chłodne, ironiczne, niegrzeszące nadmierną subtelnością uczuć.

Czym imponował swoim wychowankom? Był bardzo zwyczajny. Zawsze starannie i nawet w najcięższych powojennych czasach czysto ubrany. Wrażliwy, ale spokojny, łagodny, sumienny, punktualny. Miły dla ludzi dokuczliwych i niedobrych. Czasem podczas wykładów zanosił chyłkiem drugie śniadanie do pokoju kłerykom, którzy nie otrzymywali paczek z domu. Każdy kto go odwiedzał – także później jako biskupa – odchodził ugoszczony i obdarowany: książką, słodyczami, choćby jabłkiem. Kłerykom opuszczającym seminarium dawał pieniądze na bilet, na jakieś pierwsze urządzenie się i mówił, że mogą wrócić kiedy zechcą. Był bardzo pobożny, ale mszę św. odprawiał w ciągu 20-25 minut, pozbawiony wszelkiej pozy i przesady. Mówił kłerykom prawdę o życiu, o świecie, i kapłaństwie. Cierpiał fizycznie, gdy w diecezji zdarzały się wypadki gorszące. Czasem ze łzami w oczach wspominał o tym na wykładach. Opierał się na zaufaniu do łaski Bożej i do dobrej woli ludzi. Nie inwigilował.

20 stycznia 1928 roku został prekonizowany na biskupa tytularnego Atrybis i sufragana biskupa chełmińskiego Stanisława Wojciecha Okoniewskiego. Jako wikariusz generalny zajął miejsce pomiędzy ordynariuszem a diecezją, gdzie go bardzo kochano. Nie było to stanowisko zawsze łatwe. Pozostał na nim bliski ludziom. Nie był „ekscelencją”, tylko „księdzem biskupem”, do którego docierały najróżniejsze sprawy ludzkie i księżowskie. Przyszedł raz donos do kurii, że pewien proboszcz pije piwko z chłopami w karczmie. Ks. biskup Dominik prowadził dochodzenie. Współwinni parafianie oświadczyli, że wprawdzie oni byli pijani, ale pasterz ich dusz – nie.

– A ile ksiądz wypił? – zapytał z drzeniem biskup.

– Dwadzieścia kufli piwa...

– No to to jest wyraźnie łaska boska – ucieszył się „inkwizytor”.

Tylko kilka razy w życiu założył krzyż komandorski orderu Odrodzenia Polski. Raz było to w 1935 roku z okazji poświęcenia mostu w Toruniu. Była wtedy solenność i pompa. Ale biskup Dominik rozpoczął uroczystość od modlitwy za dusze pięciu robotników, którzy stracili życie przy tej budowie.

Bezrobotnym i ubogim rozdawał bieliznę i ubranie. Kiedy trzeba się było leczyć (a na dwa lata przed wojną zapadł na chorobę krwi) zabrakło pieniędzy i męczył się jeszcze cztery lata.

Lubił dzieci, dla których jabłka z kanonickiego ogrodu były wielką atrakcją i pokusą. Gospodynię, starającą się krzykiem odpędzić intruzów, strofował:

– Niechże pani tak nie krzyczy, bo jeszcze się któryś przestraszy, spadnie z drzewa i zrobi sobie krzywdę.

Wrzesień i październik 1939 zastał biskupa Dominika ciężko chorego w łóżku. Gestapowcy, którzy wymordowali wszystkich, poza ks. Sawickim, księży pelplińskich, przychodzili kilkakrotnie. Mimo wszystko nie wypadało wynieść biskupa z łóżkiem przed pluton egzekucyjny. Choć trudno w to uwierzyć, opowiadali, że nie pozwalała im na to także aura świętości otaczająca chorego. Musiał jednak opuścić Pelplin i przenieść się poza teren diecezji, do Gdańska, do szpitala N.M. Panny, a następnie na kapelana do siostr Elżbietanek. Opiekował się nim biskup gdański.

Gestapo nie przestało się nim interesować. Kuszenia biskupa Dominika miały jednak charakter bardziej nowoczesny i odbiegały od dantejskich prób obozów koncentracyjnych. Wszystko odbywało się w ramach „normalnego” życia. Biskupa zapraszano na rozmowy. Jedna z nich trwała około 8 godzin. Nie mówił o tym zbyt wiele do siostr. Podobno grozili rozstrzelaniem, jeśli nie przyjmie 3 grupy narodowościowej niemieckiej, co miałyby oczywiście wielki wpływ na duchowieństwo i wiernych Pomorzan. Gdy siostry pytały go, czy go bili, odrzekł:

– Nie bili, ale strasznie mnie męczyli.

Ostatnia rozmowa miała miejsce pod koniec lutego 1942:

– Męczyli mnie, bo chcieli zrobić ze mnie Niemca. Nie mogę zhańbić mego narodu. Dali mi czas do namysłu do 15 marca, ale ten termin – dodał z uśmiechem – to już Pan Bóg załatwi.

4 marca zapadł nagle na zdrowiu. 5 przeprowadzono operację wyrostka robaczkowego. Na wszystko jednak było za późno.

– Nie wrócę do Pelplina, ale chcę być tam przeniesiony i pochowany na cmentarzu koło krzyża, nie w katedrze, bo tam ludzie nie mają dostępu. Ludzie muszą się za mnie modlić...

Byłby umarł w łazience, z powodu braku miejsca, ale w ostatniej chwili ktoś odstąpił łóżko.

Na cmentarz kościoła św. Ignacego, gdzie za młodu pracował jako wikary, odprowadził go biskup gdański i 80 księży obu diecezji: oficjalnie czynni w sutannach, ukrywający się – w najrozmaitszych przebraniach. Do Pelplina wrócił dopiero dnia 6 marca 1949 roku. Pochowano go – jak mówił w kazaniu pogrzebowym ostatni członek przedwojennej kapituły, ks. Franciszek Sawicki, „obok naszych księży męczenników. Miał iść razem z nimi na śmierć, teraz

spocznie obok nich... i z grobu będzie przemawiał więcej może niż za życia. Odwiedzać go będą kapłani i wierni. Modlić się będą za niego, bo o to prosił. Ale modlić się będą także do niego, żeby się wstawił za nimi do Boga. Wszystko to się spełniło i spełnia.

Cóż dodać do tego wizerunku? Wszystkie ramy wypadną tu pretensjonalnie. Nadzwyczajna w tym życiu była właśnie zwyczajność. Bardzo w tym biskup przypomina Jana XXIII. Musiał być święty, skoro nie miano mu za złe dobroci i łagodności, w której upatruje się na ogół dowód słabości i traktuje jako narzędzie rozkładania porządku i dyscypliny. Ta wrażliwość i miękkość serca musiała jednak wymagać nie mało twardości do samego siebie.

Była to natura szeroko otwarta na Boga, który jest jedynym źródłem świętości. Można by zadać sobie pytanie: na czym polega doskonałość człowieka, który nie doznawał wielkich pokus, będąc bardzo dobrym z natury. W takich przypadkach zdumiewa raczej to, że człowiek, sam nie podlegający słabościom, wykazuje tyle zrozumienia i współczucia dla kuszonych i grzeszących. A biskup Dominik był poszukiwanym spowiednikiem i kierownikiem sumień. Był zresztą po stronie wszelkiej życiowej biedy, w wielkich i zupełnie małych sprawach. Kiedyś będąc na wizytacji w Lubawie chciał się ostrzyc czy ogolić. Okazało się to jednak sprawą nie tak prostą: w starym biskupim mieście, o którego pożarze wspomina aż dwukrotnie w swojej korespondencji Erazm z Rotterdamu, było bowiem naówczas aż pięciu mistrzów pędzla i brzytwy. Którego wybrać? Ostrzyc biskupa – zawsze to honor i jakaś reklama. Każdy by powiedział: najlepszego, oczywiście. A biskup zdecydował, że najbiedniejszego.

Jeśli zostanie kiedyś ogłoszony błogosławionym, a może i świętym, będzie patronem prostoty, życzliwości i łagodności, przyjacielem prostych, skromnych i nieśmiałych ludzi.